https://dx.doi.org/10.18778/7525-496-9.06

SPOŁECZNOŚĆ NIEMIECKA

Agnieszka Iwaszkiewicz
Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej
Uniwersytet Łódzki

W mojej (nie)pamięci... Opowieść o losach kobiet pochodzenia niemieckiego w Łodzi

Wprowadzenie. Antropolog w zetknięciu z mniejszością narodową

Możliwość uczestniczenia w realizacji badań nad społecznością żydowską i niemiecką w Łodzi po 1945 r. stała się dla mnie cennym doświadczeniem w warsztacie antropologa. Głównie na poziomie relacji z owymi mniejszościami – próby nawiązania kontaktu, w pewien sposób zagoszczenia w ich grupie, chociażby poprzez uczestniczące, jak i nieuczestniczące obserwacje. Stanowiło to dla mnie rodzaj wyzwania – odnalezienie się w środowisku tej mniejszości, która paradoksalnie podczas samych badań stawała się większością, gdzie to ja – badacz, jestem tą „inną", „obcą" osobą, nieznającą reguł grupy. Pojawiło się zatem klasyczne zadumanie antropologa, autorefleksja, jak próbować poznawać, a przede wszystkim zrozumieć obcego (przebywającego jednak w moim *orbis interior*), będąc jednocześnie obcym (więc z założenia nie do końca wtajemniczonym w zasady funkcjonowania społeczności) w stosunku do badanych rozmówców (relacja ja – obcy i ja jako obcy).

Ponadto, tworzenie tego tekstu przypadło na czas mego pobytu poza Polską, gdzie znalazłam się w zupełnie innym wymiarze doświadczania swej inności, w nowej obcości, zdecydowanie spoza dotychczasowego *orbis interior*. Wspominam o tym, gdyż sądzę, że wpłynęło to na analizę i interpretację przeprowadzonych rozmów i niewątpliwie w pewien sposób zdystansowało do podjętego przeze mnie tematu.

Cały projekt miał dla mnie również znaczenie osobiste. Poznawane historie kobiet niemieckiego pochodzenia mieszkających w Łodzi, obudziły wspomnienia o mojej rodzinie. Bowiem dziadkowie, jako repatrianci ze Wschodu, ale i ich dzieci oraz także ja – w przeciwieństwie do Niemek, których opowieści wysłuchałam, nigdy nie czuliśmy więzi z Łodzią, jako miejscem naszego domu rodzinnego, z którego nie chce się wyjeżdżać. Do dziś Wilno i Ryga są właśnie tymi „małymi ojczyznami", osnutymi nostalgią, a Łódź przypadkowym przystankiem w życiu. Myślę, że zakrzewione mi przez najbliższych poczucie

wyobcowania, inności wobec pozostałych mieszkańców Łodzi[1], pewne różnice językowe i kultywowanie wschodnich tradycji, w jakimś stopniu ułatwiły mi próbę zrozumienia poznawanej społeczności.

Nasze spotkania z przedstawicielami społeczności nie były łatwe emocjonalnie dla żadnej ze stron. Poruszanie bolesnych tematów, które zostały przez rozmówców schowane na dnie pamięci, wywoływało łzy i wzruszenie. Odwoływaliśmy się bowiem do określonego rodzaju pamięci, zwanej przez Davida K. Lowenthala „pamięcią uczuciową", która różni się od instrumentalnej – selekcjonującej zdarzenia z przeszłości i przez to niewywołującej akompaniujących im doznań [Sułkowski 2010]. Zaś pamięć uczuciowa

> „(...) to wspomnienia nawiedzające nas spontanicznie odkrywając przed nami przeszłość bogatą i żywą tak bardzo, że przeżywamy wszystko po raz kolejny jak gdyby działo się to w teraźniejszości. Doznania z zakresu tego rodzaju mogą być bardzo silne i czasem, kiedy przywołają np. jakiś zadawniony konflikt stają się udręką. Podobnie jak w psychoanalizie, rozwiązanie konfliktu powoduje, że pamiętane zdarzenia przestają nas nękać. Zdarza się i tak, że «intensywne wspomnienia przywołują przeszłość do równoczesnego z teraźniejszością istnienia sprawiają, że wydaje się ona bliższa niż nawiedzany przez nią hipnotyzowany czas teraźniejszy»" [Sułkowski: 2010].

Niezwykłym i sądzę, że wartym odnotowania momentem, było pierwsze niezarejestrowane spotkanie naszego zespołu badawczego z członkiniami niemieckojęzycznego Koła Biblijnego w domu jednej z kobiet. Według mnie, miało ono symboliczny charakter – pierwszego przełamania strachu przed wspomnieniami, podzielenia się bolesną przeszłością, do której nie chciały wracać. A jednak mimo łez, część rozmówczyń stwierdziła, że cieszy się, że udało się im wypowiedzieć to, co wcześniej było niewypowiedziane, stanowiło tabu. Jak przyznały, przyniosło im to, mimo wszystko, pewnego rodzaju *katharsis* i ulgę.

> „Przypomnienie wiąże się już ze świadomością przeszłych zdarzeń i stanów. Lowenthal wyróżnia przypomnienia intencjonalne i spontaniczne, wyuczone i wrodzone, które odkrywają różne aspekty rzeczywistości składając ją w całość. Potrzeba wielokrotnego przypominania i zapominania zmusza nas do selekcji. W ten sposób zmieniamy przeszłość «dostosowując to, co przypominane do potrzeb rzeczywistości»" [Sułkowski 2010].

Ponadto podzielenie się własnymi traumatycznymi przeżyciami, które w efekcie okazywały się w większości wspólne, niewątpliwie umocniło grupę, zawiązało *communitas*.

Muszę przyznać, że dopiero wysłuchanie tych opowieści „otworzyło mi oczy": iż my - Polacy, niewiele zastanawiamy się nad losem Niemców w trakcie wojny i po wojnie, że nie znamy ich traumatycznych doświadczeń. Nie przypominam sobie żadnego momentu w trakcie mojej edukacji, w którym poświęcono

---

[1] Co z pewnością konstruowało odrębną tożsamość i wyodrębniało z pośród łodzian [zob. Zdanowicz-Cyganiak 2008].

by temu uwagę. Tak bardzo skoncentrowani jesteśmy na własnym bólu (w wymiarze indywidualnym, zbiorowym, rodzinnym, którego w żadnym wypadku nie mam zamiaru kwestionować), że nie chcemy sobie uświadomić, że cierpienie dotyczyło przecież obydwu stron[2]. Tak mocno zakorzeniono w poprzednich pokoleniach stereotyp „złego Niemca", że nie wyobrażano sobie, iż byli przecież tacy, którzy nie popierali wojny i podczas niej dzielili podobny los z okupowanymi, a zaraz po wyzwoleniu zostali osądzeni w identyczny sposób jak zdrajcy. Działo się to tylko dlatego, że mieli niemieckie korzenie, byli ewangelikami, mówili w języku wroga.

> „Druga wojna światowa miała duże znaczenie dla utrwalenia wśród Polaków negatywnego obrazu Niemca. Doświadczenia wojenne służyły upowszechnianiu obrazu narodu niemieckiego jako synonimu hitlerowców. Wprawdzie w latach wojny były podejmowane próby rozszczepienia tego stereotypu, rozróżnienia Niemców w zależności od ich rzeczywistych postaw, lecz były to próby nieliczne i nie przyniosły większych rezultatów. Utrzymał sie obraz Niemca całkowicie podporządkowanego ideałom partii narodowosocjalistycznej, stanowiącego zaprzeczenie ideałów humanistycznych, gotowego do popełniania wszelkiego zła, na miarę potrzeb określonych przez Hitlera i jego wyznawców. Stare stereotypy negatywne dotyczące narodu niemieckiego zyskały teraz szczególnie wiele argumentów. Dla Polaków szokiem była szerokość i zasięg terroru hitlerowskiego i samo zjawisko ludobójstwa. Doświadczenia wojenne spowodowały więc uproszczenie stereotypu Niemca. Pogłębiało się jednostronne rozbudowywanie i dynamizowanie elementów pejoratywnych, przy równoczesnym zapominaniu i wycieraniu z polskiej pamięci narodowej śladów elementów pozytywnych, a więc wzmaganie generalizacji i jednostronności ocen zawartych w stereotypach. Teraz naród niemiecki jawił się w stereotypach polskich jako społeczność jednorodna, hołdująca sile, egoistyczna, odrzucająca wszelkie zasady etyki uniwersalistycznej, odchodząca od tradycji cywilizacji łacińskiej, a odwołująca się do wzorców barbarzyńskich, nie tylko nie gardząca żadnymi metodami, które prowadzą do sukcesu, ale wręcz jako współwinna zbrodni" [Wrzesiński 1995: 188].

Moje pokolenie raczej pozbyło się piętna wojny[3], ciążącego przez długi czas na pamięci naszych bliskich. Dziś szumnie głosi się hasło tolerancji

---

[2] Wydaje mi się, że można to skorelować z trzecim wariantem zapominania, opisywanym przez Franklina Ankersmita, w którym to zapominamy „(...) o pewnych aspektach naszej przeszłości – na przykład, kiedy pamięć taka jest zbyt bolesna dla naszej zbiorowej świadomości. (...) doświadczenie zostało jednocześnie zapomniane i zapamiętane: zapomniane, ponieważ skutecznie usunięto je ze zbiorowej pamięci, zapamiętane, ponieważ podmiot traumy nosi w sobie poważne okaleczenia wynikające ze swoich przeżyć" [Ankersmit: 2003: 27-28]. Autor podaje w tekście przykład okresu dwudziestolecia po drugiej wojnie światowej w Niemczech, kiedy to wymazano z pamięci Holocaust [Ibidem]. Jednak sądzę, że wyparcie z pamięci negatywnych zachowań Polaków w stosunku do tej grupy Niemców, która żyła w Polsce od dawna i nie popierała wojny, działało według tych samych mechanizmów zapominania o czynach haniebnych.

[3] Albrecht Lempp, pisząc z kolei o stereotypie Polaka w oczach Niemca, stwierdza że: „(...) stereotypy zmieniają się wraz z pokoleniami. Dotyczy to w szczególności stosunków polsko – niemieckich. Przyczyna tego jest oczywista: ci Niemcy, dla których druga wojna światowa i okres powojenny to rzeczywistość, której część sami tworzyli, są świadomi istnienia Polski. Dla nich była ona i czasem nadal jest czynnikiem o charakterze politycznym i emocjonalnym. Nie dotyczy to już późniejszych pokoleń. Dla nich krajem, z którym mogą czuć się związani i który być może już zwiedzili, jest Francja. To samo jeśli chodzi o Włochy czy Wielką Brytanię.

i zjednoczenia, budujemy relacje bez względu na narodowość czy kolor skóry, a wszelkie nazistowskie zachowania budzą strach i ogólny sprzeciw (przynajmniej w myśl tak modnej współcześnie poprawności politycznej). Jednak wciąż niewiele spotyka się publikacji, filmów itd. poruszających kwestię tej grupy Niemców, którzy nie byli okupantami i żyli w Polsce – w tym wypadku w Łodzi – od pokoleń.

W cyklu prowadzonych przez nasz zespół badań, najbardziej zainteresował mnie wątek dotyczący Niemek mieszkających w Łodzi. Jednak skontaktowanie się z gronem potencjalnych rozmówców niemieckiego pochodzenia okazało się trudnym zadaniem. W dalszych poszukiwaniach udało się nam dotrzeć do przedstawicielek mniejszości niemieckiej, które należą do Koła Biblijnego osób niemieckojęzycznych przy parafii św. Mateusza Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Przykrym faktem jest, że wielu członków społeczności niemieckiej w Łodzi już zmarło. Ci, co pozostali, są często schorowani i nie mają siły na rozmowy, zwłaszcza przywołujące traumatyczne przeżycia.

Dlaczego zatem pragnę pisać o losach kobiet? Pierwsza przyczyna jest bardzo prozaiczna – większość osób biorących udział w spotkaniach Koła Biblijnego to właśnie przedstawicielki płci żeńskiej. Biorąc pod uwagę wcześniejsze trudności znalezienia rozmówców, to z nimi mogłam nawiązać kontakt. Istotniejszy jest jednak fakt, że pod koniec wojny, jak i zaraz po niej, rodziny w większości składały się z samych kobiet i dzieci. Zdarzało się, że w domu był dziadek, ale zazwyczaj wszystkich mężczyzn zabierano do wojska, ginęli na wojnie, nie wracali do Polski lub byli umieszczani w więzieniach, obozach pracy, rzadko udawało się im dołączyć do swojej rodziny.

Badania prowadziłam metodą wywiadu swobodnego ukierunkowanego. Pamięć moich rozmówczyń, ze wszystkimi jej mankamentami i ograniczeniami, stała się dla mnie źródłem poznania losów Niemek. Pamięć, zarówno zbiorowa i indywidualna, w nowym paradygmacie antropologii traktowana jest jako istotny element i narzędzie poznania, może stanowić subiektywne świadectwo doświadczenia [zob. Kaniowska 2003: 57-66].

Wszyscy też mają własny obraz, nawet jeśli zupełnie błędny Stanów Zjednoczonych. Natomiast większość Niemców nie ma żadnego określonego obrazu Polski" [Lempp: 1995: 191]. Z moich osobistych doświadczeń kontaktów z Niemcami, pozwolę się nie zgodzić z opinią, że młode pokolenie Niemców nie posiada wyobrażeń na temat Polski, ale nie to jest istotne w cytowanym fragmencie. Otóż, warta podkreślenia jest właśnie zmiana, jaka zachodzi na przestrzeni pokoleń: dotyczy ona innego postrzegania stereotypowych sądów na temat innych narodów, a co jest wywołane często odmiennym życiem prowadzonym już w innej rzeczywistości. Oczywiście nie oznacza to, że nie pojawiają się influencje negatywnych stereotypów u młodych ludzi wyniesione np. z domu rodzinnego (choćby od dziadków pamiętających czas wojny, czy z literatury lub filmów historycznych). Zazwyczaj, stereotypy te nie są już tak silne, jak we wcześniejszych pokoleniach, które brały bezpośredni udział w wojnie bądź u ich dzieci.

1. Być Niemką w Łodzi

Rozmówczynie najczęściej urodziły się w Łodzi, gdzie ich rodziny mieszkały już od kilku pokoleń, gdyż przybyły tu głównie z Saksonii, z ówczesną falą imigrujących tkaczy.

„Historycznie drugą niepolską narodowością są w Łodzi Niemcy. Na dzisiejszym obszarze miasta Niemcy zaczęli sie osiedlać po II rozbiorze Polski w ramach pruskiej akcji kolonizacji we wsiach Antoniew, Augustów, Dąbrowa, Janów, Nowosolna, Olechów i Radogoszcz. Kilka z tych niemieckich rodzin dość szybko przeniosło się potem do miasteczka Łodzi.

W dużej liczbie Niemcy osiedlali się w Łodzi od 1823 r. w związku z uprzemysłowieniem miasta. Głównie na terenach Saksonii, Czech, Moraw, Śląska, Łużyc, Ziemi Lubuskiej, Wielkopolski i Pomorza prowadzono szeroką akcję werbunkową zwłaszcza sukienników oraz tkaczy lnu i bawełny. Zawierane umowy osiedleńcze gwarantowały przybyszom prawo powrotu do kraju, z którego przyjeżdżali. Wśród osadników – obok dość licznych Czechów, a zwłaszcza Polaków – zdecydowanie przeważali Niemcy. Toteż pierwsze dziesięciolecia Łodzi przemysłowej związane były z liczebną przewagą Niemców. Dopiero w połowie XIX w. liczba Niemców i Polaków w Łodzi zaczęła się stopniowo wyrównywać. Jednak jeszcze w 1859 r. żyło w ówczesnej Łodzi 12,2 tys. Niemców, a tylko 11,7 tys. Polaków. W połowie XIX w. imigracja niemieckich fachowców do Łodzi ustała niemal całkowicie" [Gałecki, Natorska, Onufrzak, Różańska, Wojtkowiak 1997: 24-25].

Jedna z moich rozmówczyń opowiada:

„(...) ja się urodziłam w Łodzi, tutaj. Moje pradziadkowie pochodzą z Saksonii, to wiem, ojciec zawsze mówił. Oni koloniści byli z Saksonii, czyli prapradziadki może nie no ja nie wiem no tak prawda, tak słyszałam" [W: 23.01.2010].

Podobnie wspomina:

„(...) to już od pradziada, tego to nie umiem powiedzieć, blisko Łodzi mieszkali przede wszystkim, z ojca strony matka mieszkała w Zdziechowie, to jest tutaj koło Lutomierska, a dziadek nie wiem. A mojej mamy rodzice to mieszkali cały czas w Łodzi, tyle co pamiętam z opowiadań. No pewno, że Łódź była wtedy wsią, bo to był jakiś rok 1700, nie, a teraz już mamy przeszło 2000, więc to trzecie, czwarte pokolenie. Natomiast mogę powiedzieć, że moje dziadki, tak z jednej, jak i z drugiej strony, mieszkały cały czas w Łodzi, były rodziną niemiecką (...)" [W: 02.02.2010].

Z powodu wojny wiele dokumentów zaginęło i zdarza się, że korzenie najbliższych nie są dokładnie znane.

„Z mamy opowieści wiem, że dziadek zmarł w 1910 roku, moja mama miała wtedy latka... – szósty rok. W akcie zgonu jest napisane w 1910 roku, że dziadek urodził się w Łodzi. I nie ma aktu urodzenia. No i przez przypadek (...) znaleźliśmy akt małżeństwa dziadka i babci. I babci... też pisze, że urodził się w Łodzi. Nie mogę dotrzeć do aktu urodzenia, bo chcę się dowiedzieć skąd oni przybyli" [W: 20.02.2010].

Kim zatem są? Jak siebie postrzegają? W procesie identyfikacji własnej tożsamości ważną rolę odgrywają nie tylko przekazy tradycji przez członków rodziny, ale również nasza relacja z otaczającym nas środowiskiem. Zależy bowiem, czy krystalizuje się ona na zasadzie wyostrzania różnic między

społecznościami, czy też przyjmuje bardziej neutralny charakter – „nieszkodliwego" bytowania obok siebie lub nawet zawiązywania więzi pomiędzy odrębnymi grupami. Łódź na mapie historii do czasów powojennych, zapisała się dosyć nietypowo jak na ówczesne warunki – jako miasto wielonarodowe i wielowyznaniowe [Wojtkowiak 2000]. Na przestrzeni dziejów wspólnej egzystencji grup narodowościowych ich stosunki się zmieniały, co odbijało się na kształtowaniu tożsamości łódzkich Niemców.

„(...) w czasie okupacji przed wojną to niespecjalnie to (Polacy, Niemcy, Żydzi – przyp. A. Iwaszkiewicz) się różniło, a po wyzwoleniu to było to różnie. Ale to było też nastawienie samo przez się ludzi, którzy cierpieli w obozach, Polacy. Rozumiałam to dopiero po latach. Bo nie mogłam zrozumieć, dlaczego dziś rozmawiamy ze sobą, bawimy się razem, a jutro od razu jestem ..., od razu się wyganiało, biło itd. (...)" [W: 02.02.2010].

W podobnym tonie wypowiada się kolejna rozmówczyni:

„Po 45 roku źle się wiodło. Jakaś taka nienawiść była między ludźmi. Przecież przed wojną jak moi rodzice wyjeżdżali, powiedzmy, tak na urlop, to nie jeździli daleko, tylko do Lućmierza, do Rosanowa. Tam bogaci Żydzi z Łodzi wynajmowali. No to towarzyszyło się wszystko: Polak, Niemiec, Żyd. Wszystko było razem, nie było osobno. A później się zrobiła taka nienawiść. Był kolega mojej mamusi, Żyd. Nazywał się Luftman. Przyjechał w 45 roku jako pułkownik i szukał moją mamę. Ale mówił do mojej mamy: «Ela, ty musisz wyjechać, ja ci nie mogę pomóc. Ty musisz wyjechać. Ja wrócę tutaj za jakiś miesiąc, to jakoś ci pomogę». Ale myśmy już musieli wyjść, opuścić to mieszkanie (...) i już żeśmy Luftmana nie spotkali nigdy" [W: 13.02.2010].

Kobiety, z którymi rozmawiałam, uznają w większości swą narodowość za niemiecką, a obywatelstwo polskie [por. np. W: 23.01.2010, W: 20.02.2010, W: 12.03.2010]. Aczkolwiek zdarzyła się i taka wypowiedź:

„Cała moja rodzina pochodzi ze Zgierza. Z dziada pradziada. Moja prababcia z domu Rej, tak jak ten nasz Mikołaj. A dziadek mój pochodzi z Łotwy, z Rygi. Był wielkim dziedzicem. No i przyjechał do Polski (...) z wielkim fabrykantem z Anglii. Razem studiowali. I zapoznał moją biedną babcię, która była przepiękna, wrócił na Łotwę, pożegnał się i zakochał i został. No to tylko mój dziadek z Łotwy. A ja z dziada pradziada pochodzę ze Zgierza. I (...) nie możemy być Niemcami, jak mamy korzenie z Polski. (...) Moja babcia mogła pojechać do Niemiec, bo mojego dziadka matka jest z domu Pieck. A pierwszym prezydentem Niemiec był Pieck" [W:13.02.2010].

Jej autorka zdaje się mieć ambiwalentną, podwójną tożsamość, powołuje się zarówno na polskie i niemieckie korzenie w zależności od kontekstu opowieści. To charakterystyczne dla kolejnych pokoleń członków mniejszości. Pamiętają i często nawet kultywują własne tradycje rodzinne, lecz może się zdarzyć, że miejsce urodzenia i zarazem ich życia, wpływa na poczucie przynależności do otaczającej ich grupy[4] (następuje proces enkulturacji, czy wręcz asymilacji).

[4] Zdarza się, że takie pozostawanie w sprzeczności z samym sobą, spowodowane jest tym, że postrzeganie siebie samego jako jednostki zdeterminowane jest przez region, miejsce, a którym się

Należy również zdawać sobie sprawę, że to pamięć buduje tożsamość człowieka, to dzięki niej zyskujemy świadomość kim jesteśmy, skąd pochodzimy [zob. Kapuściński 2003: 16]. Paul Ricoeur, analizując teorię Johna Locke'a (pamięć jako kryterium tożsamości), pisząc o zagadnieniu pamięci manipulowanej zastanawia się nad tym, jakie są przyczyny kruchości tożsamości [Ricoeur 2003: 47]. Pierwszą z tych przyczyn, określa jako:

> „(...) trudny związek z czasem; ta podstawowa trudność uzasadnia odwołanie się do pamięci jako czasowego składnika tożsamości, w połączeniu z oceną teraźniejszości i projekcją przyszłości. Ten związek z czasem stawia nas jednak przed trudnościami ze względu na wieloznaczność samego pojęcia tożsamości, zawartego implicite w pojęciu identyczności" [Ricoeur: 2003: 47].

Drugim powodem kruchości tożsamości jest konfrontacja z innym, postrzegana jako zagrożenie (staje się on niebezpieczny dla tożsamości zarówno jednostki lub całej zbiorowości) [Ricoeur 2003: 47]:

> „To właśnie upokorzenia, prawdziwe lub wyobrażone zamachy na własne mniemanie o sobie, pod ciosami źle noszonej inności, kierują stosunki podmiotu z innymi od gościnności do odrzucenia i wyobcowania".

A zatem wpływ na nie do końca spójne, zachwiane poczucie samoidentyfikacji u cytowanej rozmówczyni, miały zapewne także zmieniające się nastroje wobec Niemców żyjących w Łodzi, która z przyjaznego miasta, stała się przez długi okres wrogą przestrzenią. Ostatnie lata wojny i okres zaraz po wyzwoleniu, przypadły na czas dzieciństwa lub młodości moich rozmówczyń. Tym trudniejsze i przecież zwyczajnie niezrozumiałe dla niewinnego dziecka, wydaje się egzystowanie w świecie pełnym wrogości, w rzeczywistości, która zmieniła się z dnia na dzień. Łączy się z tym także trzecia przyczyna wpływająca na kruchość tożsamości, o której pisze Ricoeur:

> „(...) fakt odziedziczenia założycielskiej przemocy. (...) Te same wydarzenia oznaczają (...) dla jednych chwałę, dla innych upokorzenie. Świętu jednych odpowiada żałoba drugich. W ten oto sposób gromadzą się w archiwach zbiorowej pamięci rzeczywiste i symboliczne rany" [Ricoeur 2003: 47].

Z problemem pamięci i tożsamości skorelowane jest również zapominanie. Franklin Ankersmit zauważa, że zapominaniu sprowokowanemu historyczną zmianą towarzyszy

> „(...) uczucie głębokiej i niepowetowanej straty, kulturowej rozpaczy, beznadziei i dezorientacji. W tym sensie takie historyczne doświadczenia są niewątpliwie traumatyczne, jednak w takich przypadkach stawka traumy jest o wiele dramatyczniejsza: tu naprawdę traci się samego siebie. Poprzednia tożsamość zostaje raz na zawsze i nieodwracalnie utracona,

---

żyje, a dopiero w późniejszej fazie pojawia się kwestia konkretnej narodowości [Beckermann 1995: 177]. Pojawia się słynne w antropologii sformułowanie „jestem stąd, jestem tutejszy".

stłumiona przez tożsamość historycznie lub kulturowo nową, co absolutnie uniemożliwia wszelkie pojednanie pomiędzy starą a nową tożsamością" [Ankersmit 2003: 28].

Wojna, jak i jej zakończenie odcisnęła zatem ślad na tożsamości rozmówczyń, a u niektórych z nich spowodowała chaos samoidentyfikacji, przynależności narodowej. Dodać należy, że już od połowy XIX w. można było obserwować w Łodzi dosyć szybki proces polonizacji zwłaszcza wśród Niemców – katolików i niektórych ewangelików [Wojtkowiak 2000: 1].

Lata dzieciństwa i młodości przypadły na okres końca wojny, a później wyzwolenia. Przyjrzyjmy się temu, jak wówczas egzystowały badane, co zmieniło się w ich codzienności.

Rzeczywistość dziecka to obraz domu rodzinnego i jego najbliższej okolicy, szkoły, ewentualnie parafii. Przede wszystkim, jak pisałam, czas wojny i po wyzwoleniu, to zazwyczaj świat bez mężczyzn, w którym kobiety zdane były same na siebie. Najczęściej musiały pracować i opiekować się dziećmi, jak i swoimi rodzicami:

„Myśmy zostały: babcia, mama i ja. Ojciec już do nas nie wrócił. Uciekł, ale już do nas nie wrócił" [W:13.02.2010].

czy:

„(...) jako dziecko - to pamiętam - mieszkaliśmy na obecnej Wierzbowej (...). Tam mieszkaliśmy, babcia, brat, mama, ja, mój tata. Ja pamiętam ojca – jeszcze jako dziecko. Potem w 42 roku (...) ojca wzięli do wojska (...)" [W: 20.02.2010].

Nie wszystkie rodziny niemieckie zdawały sobie sprawę, że nadeszły ostatnie dni przed wyzwoleniem Polski i że świat, w którym żyli do tej pory, ulegnie kolosalnej zmianie:

„W 45 rodzina została. Mężczyźni – no część już była w Wermachcie, to na miejscu ich nie było, bo później w ostatnich dniach wzięli wszystkich (...) to i tak ich w domu nie było. No a same kobiety z dziećmi uciekać nie chciały: żyli dobrze z Polakami to nikt nie myślał, że coś im się stanie. O tym, co się działo wcześniej na frontach, to każdy trochę wiedział – co tam Rosjanie robią – ale sobie człowiek myślał, że to propaganda czy coś takiego. A jak rodzina przyjeżdżała z Wermachtu na urlop czy coś, no to mówili, co tam się dzieje – żeby uciekali. Ale wszyscy myśleli: gdzie uciekajcie, jak: cały majątek zostawić... A że to było na wsi, to przywiązani do swojej ziemi, dobytek mieli cały –i dwa, że rodziny w Niemczech nie było, no bo kontaktów w Niemczech nie mieli – w sumie mieszkali tutaj od dwustu lat, nie było nawet gdzie uciekać. Wszystko przyszło tak szybko; babcia opowiadała, jak w te ostatnie dni jeszcze było, jak chodziły do kina i nagle pokazały się choinki i były pierwsze bombardowania. Później, w te ostatnie dni, wszystko zaczęło uciekać, kobiety z dziećmi na wózkach czy na saniach...Wszystko wozami uciekało. (...) Oni zostali" [W: 22.02.2010].

Zdarzało się, że matki wchodziły w nowe związki, gdy po latach poszukiwań swych mężów uznawano ich za zaginionych [zob. W: 20.02.2010]. Jedna z kobiet opowiada o swoim dzieciństwie:

„Ja w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że to była wojna jakaś. Fajnie było, babcia, mama, spacery do parku Staszica, do Helenowa, bo blisko mieszkaliśmy. Przypominam sobie ławkę, gdzie siedziała mama, na drutach sobie robiła. My bawiliśmy się dzieci. Tak to było. Tak sobie Wczoraj przypomniałam, że było wyzwolenie Łodzi. I to cała kamienica opustoszała. Nie wiem czy nie cała, ale na parterze zostało światło, drzwi pootwierane i ludzi nie było. My mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Dwa pokoje, kuchnia, łazienka... sypialnia była i pokój, duży piec kaflowy, gdzie się paliło węglem, ogrzewało dwa pokoje. Teraz jak patrzę, że to nie było duże mieszkanie, ale wtedy było duże. Jak chodziłam na W… do szkoły to zawsze patrzyłam w te okna. Balkon z sypialni był na Północną stronę – na Kołłątaja wychodził. W tej chwili nie potrafię teraz powiedzieć, kiedy nas wyrzucono z tego mieszkania – nie pamiętam. W każdym bądź razie przyszli mundurowi i nie mundurowi z czerwonymi opaskami i Raus, Raus, Raus z mieszkania. Babcia z mamą na pewno naszykowały różne klamoty w workach, ni w workach. I Wszystko na klatkę schodową. Pamiętam, że chciałam wrócić po lalkę, ale mi nie pozwolili. I mieszkaliśmy – jak nas z tego mieszkania wyrzucono w pralni, na górze, przy strychu. Pralnia była duża dla wszystkich lokatorów, okno było w suficie, duży wmurowany kocioł, obok był strych, gdzie wieszało się rzeczy. Chyba do maja 45r., bo takie mam notatki (...) Potem zamieszkaliśmy na ulicy Spornej 30 – 9 metrów kwadratowych. Takie poddasze, też bez światła, bez wody, zapluskwione strasznie, małe okienko, piecyk był to taka kanonka... Mama w nocy świeczki paliła i goniła pluskwy, bo nas żarły. Z babcią chodziliśmy zbierać na cmentarz na Doły jakiś chrust, drewienka do palenia w piecu" [W: 20.02.2010].

Po przesiedleniu Niemcy musieli zmierzyć się z katastrofalnymi warunkami, żyli w wiele osób na małych metrażach, co i między nimi samymi powodowało kłótnie [zob. np. W: 20.02.2010]. Jednak należy pamiętać przy tym, że był to czas wojny i pierwsze lata po jej zakończeniu, kiedy większość ludzi, bez względu na narodowość, borykała się z biedą i trudną sytuacją egzystencjalną.

„Lata dziecinne to były takie, że… po prostu, nie wiem, w którym roku to nas tam wyrzucili z tych (...) mieszkań. Żeśmy w pralni mieszkali, ja w balii spałam z siostrą. (...) To, co pamiętam, to jak z mamą chodziłam na Praską (...), tam była komenda. Tam mama musiała się rano i na wieczór meldować… (...) nie wiem jak mama to załatwiła, że żeśmy na tej Suwalskiej… tam dostały takie czternastometrowe mieszkanko… wśród Polaków. (...) w pięćdziesiątym roku przyszedł ojczym. Też Niemiec. Zamieszkał z nami w mieszkanku czternastometrowym… gdzie było tyle pluskiew, że się po prostu trzcina ruszała. Bo to ściany były z deski i z trzciny…. (...) ściana po prostu chodziła. I dopiero hm… matka tego mojego ojczyma, będąc w NRD, w domu opieki społecznej (...) przysłała jakiś amerykański proszek. Troszkę później się nam poprawiło, jak ta babcia coś niecoś wzięła i przysłała. (...) to ojczym malował ściany z tym proszkiem (...) ale te pluskwy poszły na drugą stronę, do sąsiadki" [W: 12.03.2010] .

Losy obu nacji były ze sobą mocno splecione. Eksmisje Niemców, przypominały wysiedlenia Polaków w 1940 r., kiedy to:

„(...) wypędzono polską diasporę z Karolewa i zabrano się za wysiedlanie pobliskiej Retkini, wieść niosła, że będą zabierane polskie dzieci «na rasę», co szczęśliwie okazało się nieprawdziwe. Hitlerowcom chodziło tylko o wypędzenie polskiej społeczności z lepszych, murowanych domów, by zasiedlić je napływającą ludnością niemiecką. To wtedy Familie Strouwików, starych niemieckich tkaczy, okazała serce Wiejskim, polskim sąsiadom zza płotu, przyjmując ich na kilka lat do swego drewnianego domu. W styczniu 1945 rodzina Wiejskich wróciła do siebie. Stara, już samotna Frau Strouwik została obok. Któregoś wieczoru przyszli bandyci i wywlekli staruszkę na podwórze, aby powiesić ją na płocie. Nie broniła się i szła,

wołając półgłosem: «pani Wiejska, pani Wiejska». A przerażona pani Wiejska widziała to przez okno i nie mogła pomóc. Na drugi dzień zamordowaną, owiniętą kocem, wywieziono na sankach na ewangelicki cmentarz przy ulicy Wileńskiej" [Poraj: 2009].

Rozmówczyni dzieli się taką oto refleksją:

„(...) ten 39 rok tak czy nie. Zaczęła się właśnie ta nienawiść, a no trochę winny Niemcy też były nie, bo dużo też pokazywały drogę, bo ja znam też to, tego sprzątały, tego z mieszkania wyrzucili nie. To chyba oni pokazały tę drogę. No oczywiście, a potem był rewanż nie, w 45 roku, nie. (...). Jak ja Pani krzywdę zrobiłam to Pani odwetowała później na mnie, tak czy nie" [W: 23.01.2010].

Wspomina, że na ulicy, gdzie mieszkała było kilka domków jednorodzinnych usytuowanych blisko siebie, ale w czasie wojny nikt nikogo stamtąd nie wyrzucał. Zmiana nastąpiła po wyzwoleniu:

„(...). Mój ojciec miał ogrodnictwo przed wojną (...) w 45 roku to nam, ten co u nas pracował jako ogrodnik, u mojego ojca to objął całe gospodarstwo. No, tyle wiem" [W: 23.01.2010].

Zakończenie wojny po raz kolejny zamieniło świat w „świat na opak", jeśli chodzi o relacje międzyludzkie: wzmocniła się wrogość w stosunku do niemieckich sąsiadów, wielu Polaków rozpoczęło czas zemsty. Nagle przestały liczyć się dawne znajomości, przyjaźnie z Niemcami:

„(...) z sąsiadami zawsze dobrze żyli. Z tego, co babcia mówiła, to prababcia nawet wywoziła jakąś żywność do Żydów do getta – za to jej coś tam szyli, czy coś takiego. Z drugiej strony druga prababcia... – znaczy: babcia mówiła, że jej teściowa wzięła na przechowanie majątek od sąsiadów polskich, bo bali się, że mają ich wywieść. No i przechowała. W 45 ten majątek odebrali, tylko taki mały problem, że z majątkiem babci. Jakoś tak przypadkowo się zajęli..." [W: 22.02.2010].

Inna kobieta opowiada:

„Najlepsi znajomi wyrzucili nas na ulicę. Wyrzucono nas. Po prostu kazano nam zabrać to, co możemy. No więc, co babcia mogła wziąć? Mama tak samo. Co tam można było na wózeczek załadować, no to się wzięło, ale gdzie iść? Nie ma! I tak żeśmy się błąkały prawie do marca. To była ta ciężka zima, było prawie minus trzydzieści, nieraz więcej. No i tak. To trochę u tych… Nareszcie przyjął nas pan grobowy na cmentarzu ewangelickim, który miał zamiar wyjechać do Niemiec, no i odstąpił nam duży pokój. To w tym pokoju mieszkaliśmy (...), w trzy rodziny. Tak, że każdy miał jakieś łóżko swoje wstawione czy coś tam. Tamci wyjechali później do Niemiec" [W: 13.02.2010].

Bywało, że niektóre rodziny niemieckie zostały wysiedlane z mieszkań w późniejszym czasie:

„(...) nie mieszkaliśmy z żadnymi obcymi ludźmi, też zbieg okoliczności. Ja podejrzewam, że najprawdopodobniej to było dzięki temu, że mama moja angażowała się w pomoc, powiedzmy, że drugiego Klossa z siebie zrobiła, ale to ja tak dopiero po analizowaniu wszystkich rzeczy, bo w 4 pokojach z kuchnią do 46 roku żeby Niemcy mieszkali, to raczej było niespoty-

kane. A myśmy mieszkali. Potem żeśmy się przenieśli na parter, do oficyny, mieszkaliśmy we frontowym domu, do pokoju z kuchnią, co szczury latały po mieszkaniu i kibel był pod mieszkaniem, cały zbiornik, z całej posesji, bo nie było kanalizacji takiej jak teraz, tylko przyjeżdżały wozy i wybierały, to wtedy tydzień trzeba było uciekać z domu, bo śmierdziało. Najgorszy to był przypadek ten, co ja szłam ze szkoły, rodzina moja już była na wozie, wywoził ją ten policjant, bo jemu się mieszkanie spodobało, to gdyby nie ten zbieg okoliczności, że ja wracałam ze szkoły, to matka by musiała potem przyjść i mnie szukać, jak ja ze szkoły przyszłam. Ja chodziłam do szkoły na Gdańskiej pod 23. a na wozie siedzieli babcia, dziadek, braciszek mój i mama, z płaczem jechali już na Zgierską pod 59 (...). To był ten najgorszy moment" [W: 02.02.2010] .

„Wyrwanie" z oswojonego świata do obcej i najczęściej wrogiej przestrzeni, implikowało zapewne strach przed nieznanym, wprowadzało chaos w życiu, a tym samym odbierało poczucie bezpieczeństwa. Dyskomfortem były nie tylko „upiorne" warunki mieszkaniowe, ale także wielokrotne przeprowadzki rodzin, jak i rotacja ich współlokatorów.

Czas wyzwolenia Polski postawił przed pozostałymi w Łodzi Niemcami kolejną przeszkodę – dzieci musiały partycypować w zajęciach w polskiej szkole, a najczęściej umiały porozumiewać się tylko w języku niemieckim, przekazanym im przez pokolenie dziadków i rodziców:

„Do szkoły trzeba było pójść, a moja mama święcie wierzyła, że Niemcy wrócą, taka była patriotka. Mówiła, moje dzieci nie pójdą do polskiej szkoły, moje dzieci pójdą do niemieckiej szkoły. No więc przyszła kara. Słyszałam, że na wsi to się udawało nie chodziły wcale do polskiej szkoły, tacy trochę starsi ode mnie, których się teraz spotyka w Niemczech. W 47 roku, to ja już miałam 8,5 roku, mój brat miał 7 i poszliśmy do szkoły i tak pomału tego języka się człowiek uczył" [W: 20.02.2010].

W szkole dzieci niemieckie odczuwały napiętnowanie z racji swej narodowości, zarówno ze strony swoich rówieśników, jak i nauczycieli. Niewątpliwie polskie dzieci czerpały wzór zachowania z autorytetów, które obserwowały, czyli rodziców i wychowawców szkolnych. A świeże wciąż w pamięci blizny doznanych krzywd podczas wojny, powodowały, że niektórzy dorośli pałali nienawiścią do całej nacji niemieckiej bez wyjątku i bez odróżniania winnych od niewinnych. Wyzywano dzieci niemieckie, nadając pejoratywnego znaczenia słowu „Szwab", nazywano je także „Niemrami", „hitlerowcami", „świniami". Poniżano i upokarzano, ostentacyjnie separując je od grupy:

„To była już 3 klasa. Przypominam sobie Panią od historii i chodziła od ławki do ławki i pytała czy po niemiecku się w domu mówi. I zapytała mojego brata i on mówi, że nie, a sąsiad z tej samej ulicy: «jak to nie, okna otwarte, po szwabsku gadają». Do czwartej klasy mieliśmy taką fajną Panią, która pochodziła z Wilna, więc do dzieci niemieckich inaczej podchodziła, może ją też stamtąd wypędzono, jak to było. Tu wypędzeni, tam wypędzeni i to tak historia się powtarza" [W: 20.02.2010].

A także reakcje rówieśników pochodzenia polskiego:

„Ja miała koleżankę (...), bliskośmy się kolegowali, do szkoły chodziłam, wszystko prawda z nią razem. W czasie okupacji oczywiście też ją znałam, krzywdy żeby coś miała ode mnie, zawsze normalnie my odzywali, odzywałam się również. A po 45 roku to ona była tak bezczelna, że potrafiła powiedzieć idą żołnierze wojskowi tacy młodzi i mówią tak «o, to jest szwabka» - moja koleżanka, co się nigdy nie przypuszczałam na ten nie. A ono jeszcze mówili «co taką ładną dziewczynkę mamy zastrzelić»" [W: 23.01.2010].

Ewa Nowicka analizując pojęcie obcości i swojskości stwierdza, że kiedy ludzie uznający się za bliskich zaczynają odczuwać w swych relacjach obcość, staje się ona źródłem napięć, stresu. Jeśli w dodatku zależało nam bardzo na opiniach i wartościach danej osoby czy grupy, jednostka zaczyna odbierać obcość jako dokuczliwą i niszczącą, w skrajnych przypadkach przeradza się ona w poczucie zagrożenia [Nowicka 1991: 19].

Przykład wypowiedzi ilustrującej stosunek Polaków do Niemców:

„(...) ciężko było. Była nienawiść. Ja rozumiem, że naprawdę krzywda się działa podczas okupacji, bardzo duża krzywda. Ale ci, co tą krzywdę robili, zdążyli uciec. A zostali niewinni ludzie. No i tak: szłam do szkoły, były śniegi takie wielkie, no chcieli przejść, to mnie przewrócili, to mnie kopnęli. No, w szkole tak samo: «Szwabra Niemra, masła się nachlała». A ja masła nie widziałam (...), bo jak ktoś tam coś miał, jakiś olej rzepakowy... Podczas okupacji chleb się smarowało olejem. Mmm, coś wspaniałego było. Marmolada też, chleb na kartki był tak samo. Tak, że tego masła się nie najadłam" [W: 13.02.2010].

W styczniu 1945 r. udało się zbiec z Łodzi na Zachód ponad 100 tys. Niemców, jednak na skutek błyskawicznej ofensywy radzieckiej w mieście wciąż pozostało prawie 40 tys. ludności niemieckiej [Gałecki, Natorska, Onufrzak, Różańska, Wojtkowiak 1997: 31].

„Wśród pozostałych stosunkowo niedużo było takich, którzy rzeczywiście krzywdzili Polaków i Żydów. Wtedy jednak odezwało się całe polskie poczucie krzywdy doznanej w czasie okupacji. Zemsta wylała się na posiadaczy volkslisty pozostających w mieście. Trudniej przecież było gonić rzeczywistych przestępców, którzy byli za Odrą" [Gałecki, Natorska, Onufrzak, Różańska, Wojtkowiak 1997: 31].

Język demaskował inność kulturową Niemców i stawał się powodem do szyderstw. „Obcy" pochodzący przecież z *orbis exterior* względem naszego świata, zawsze posługiwał się niezrozumiałą i najczęściej dziwnie brzmiącą mową, a to czyniło go jeszcze bardziej oddalonym od „swojego" [zob. Benedyktowicz 2000]. To, co nieznane napawało lękiem [zob. Zdanowicz-Cyganiak 2008] i prowokowało do reakcji samoobronnej w postaci ataku:

„(...) jak się wojna skończyła to była tragedia. Z bratem nie znaliśmy polskiego ani na ulicę wyjść – mama zatykała nam buzie: cicho, cicho" [W: 20.02.2010].

Imiona i nazwiska zdradzały pochodzenie, często bywały też przekręcane, niepoprawnie odczytywane:

„(...) ponieważ miałam nadane te polskie imiona to tak jak mówiłam, w którymś tam roku sobie odebrałam swoje imiona [niemieckie – A. I.]. Bo jak za mąż wychodziłam za ojca mojej córki, to jak zobaczył, że nie jest Krystyna, tylko Cristal (...) wyzwał mnie od Niemki. No i stwierdziłam, jeżeli później weszło takie zarządzenie, że można sobie nazwisko, (...) [zmienić – A. I.]. No to poszłam, złożyłam, za miesiąc dostałam swoje imiona" [W: 12.03.1010].

Czy inne zdarzenie:

„Z nazwiskiem to zawsze miałam trudności. Jak na SP wezwali, to siedzę i czytają: i Pitzner, i Kitzner, a to wszystko nie ja, (...) to nie szłam. Mnie wcale nie zależało, żeby iść na to SP, to była Służba Polsce, żeby gdzieś wyjechać, a mnie nie zależało. I wszyscy wyszli i podchodzi do mnie i «a ty co?», a ja mówię, że czekam, żeby mnie wywołali. «A jak się nazywasz» (...) «To przecież wywoływali!». A ja mówię: «nie mnie». Patrzy i mówi: «a, faktycznie, bo my tu mamy napisane... ». «Znaczy się, nie o mnie chodziło»" [W: 02.02.2010].

Niepoprawne zapisywanie nazwisk niemieckich w dokumentach, przysparzało im wiele problemów:

„(...) polscy urzędnicy często źle przepisywali nazwiska. Jak później np. były kontakty do rodziny z Niemiec, jak np. jakieś pieniądze przesyłali, to były wielkie konflikty, bo nazwisko się nie zgadzało. Bo był: …, a wpisali jedno «i» zamiast dwa «i», żeby było «u» umlaut. Później były różne problemy zmieniania nazwisk: paszporty i tak dalej" [W: 22.02.2010].

Rozmówczynie wydają się być ostatnim ogniwem w przekazie międzypokoleniowym języka, którego uczyły się od dziadków i rodziców. W ich dorosłym życiu, ich dzieci, jeśli znają niemiecki, zazwyczaj uczyły się go w szkole. W czasie wojny w domu rozmawiano po niemiecku, po wyzwoleniu Niemcy pozostający na terenach Polski musieli nauczyć się polskiego, a z uwagi na napiętnowanie ze strony polskich sąsiadów, współpracowników, języka niemieckiego używano bardziej dyskretnie. Kiedy dziadkowie poodchodzili z tego świata, mowa lat dzieciństwa stopniowo zaczęła zanikać, wplotły się w nią spolszczenia i słowa żydowskie. Dopiero zrzeszanie się mniejszości w Towarzystwie, czy w Kole Biblijnym przyniosło możliwość odświeżenia znajomości języka przodków. Część kobiet ogląda też programy telewizji niemieckiej, znajomi przysyłają im książki i czasopisma z Niemiec [W: 02.02.2010, W: 20.02.2010, W: 13.02.2010]. Na początku działalności Towarzystwa Niemieckiego organizowano kursy językowe dla członków mniejszości. Te Niemki, które pracowały w zawodach, gdzie znajomość niemieckiego była przydatna, nie straciły zdolności biegłego posługiwania się językiem [np. W: 23.01.2010, W: 20.02.2010]. Niewątpliwie najkorzystniejsze były wyjazdy do Niemiec, a także kontakt z uczestnikami niemieckich wycieczek przybywających w odwiedziny do Łodzi.

Drugim znakiem odmienności stała się wiara. Jeśli ktoś był wyznania ewangelickiego, automatycznie uznawano go za Niemca [Lipscher 2009]:

„(...) moja siostra z trzydziestego dziewiątego roku dopiero była chrzczona razem ze mną, w czterdziestym ziewiątym roku. (...) Mama [przyp. – A. I.] tak uważała, że (...) ewangelicy są

Niemcami, no co będziemy się czarować, no? Nie ma polskich ewangelików. Nie ma. Ewangelik jest ewangelik. Niemiec może być ewangelikiem, no ja sobie tak tłumaczę, ale chyba mam rację, (...) może być katolikiem, może być ewangelikiem.(...) ponieważ (...) mama przechodziła tam te koleje życia, uważała, że jak nas zrobi katolikami, to będzie to lepiej, a to… w ogóle nieprawda" [W: 12.03.2010].

Wiele obelg rzucanych na ewangelików wynikało nie tylko ze złej woli dokuczających im Polaków i nienawiści do Niemców, lecz z powodu braku wiedzy na temat tej religii:

„Z siostrą od religii zadarłam też. Bo się pytali uczniowie, jaka jest różnica, że my nie bierzemy udziału w tej religii, a ona powiedziała: «a, bo oni mają Matkę Boską zakopaną pod dużymi drzwiami w kościele». Nigdy o czymś takim nie słyszałam, ale w tym samym dniu, (...) wtedy była religia w kościele. No i mieliśmy takiego księdza, (...) no i ja pytam: «proszę księdza, czy to prawda, że u nas jest zakopana Matka Boska pod dużymi drzwiami? ». A on pyta: «gdzie? W którym miejscu? Skąd ta wiadomość? ». (...) «no, I., no nie mówiła siostra Urszula? ». «No, mówiła». «O, tak powiedziała? (...) No, to musimy ją poprosić, żeby (...) nam... pokazała, gdzie. To nie można tak, żeby chodzić po czymś! Przypomnijcie sobie zdjęcie Stalina czy Bieruta, jak się położyło gazetę na podłodze, to trzeba było wyciąć ten obrazek. (...), no, musimy wiedzieć, w którym to miejscu». No, to ja się już nie mogłam doczekać następnego dnia szkoły. Ja mówię: «siostra jest proszona do nas, do parafii». «A po co? ». «No bo ksiądz prosił, żeby siostra przyszła i pokazała, w którym to miejscu, żeby cały kościół nie zrywać, bo to pod dużymi drzwiami, ale są dwa ciężkie drzwi i nie wiadomo, w którym miejscu kopać». A ona mówi: «nie, no bo... ». Wtedy jakieś pismo wystosował nasz ksiądz do tamtych sióstr, żeby im objaśnić, jaka jest różnica między jednym wyznaniem a drugim. (...) spokój już był już nie był temat poruszany. Samy żeśmy im wyjaśnili. (...) jak się ktoś pytał (...) to... teraz siostra to powiedziała: «najlepiej to wy powiedzcie, jaka jest różnica»" [W: 02.02.2010].

Theodor Adorno wraz ze swoim zespołem badawczym pracował między innymi nad podziałami religijnymi, uznając je za jeden z najważniejszych typów kryteriów swojskości i obcości [Nowicka 1991: 21]. Pisał o jednostce autorytarnej, którą miały cechować tendencje do podziału osób na swoich i obcych, niechęć do wszystkiego, co jest inne od własnego i posługiwania się stereotypami w stosunku do obcych grup [*Ibidem*]. Kontynuator jego koncepcji Milton Rokeach dodał, że niechęć do inności, lub do tego, co jest o nią podejrzewane rozpoczyna się już na płaszczyźnie poznawczej, kiedy zdobywając informacje różniące się od już posiadanych, wzrasta poczucie zagrożenia i lęku, przez co są one automatycznie odrzucane [*Ibidem*: 21-22]. Co więcej, umysłowość określana jako dogmatyczna:

„(...) nie sprzyja kontaktom z tym, co obce, gdyż poważnie ogranicza elastyczność osobowościową i społeczną – umiejętność zachowania się w sposób odmienny od znanego i codziennego" [*Ibidem*: 22].

Istniało wówczas wiele tzw. małżeństw mieszanych[5], które różniły się nie tylko narodowością, ale też i wiarą. Zdarzało się, że małżonkowie niezmiennie trwali przy swojej wierze, ale były również przypadki konwersji zarówno na katolicyzm, jak i na protestantyzm. Kluczowym problemem było wychowanie religijne dzieci.

> „Tatuś mój był katolikiem, mamusia była ewangeliczką. I było umówione: jeżeli urodzi syn się, będzie ochrzczony w kościele katolickim, jeżeli córka, no to będzie ewangeliczka. (...) No i urodziłam się ja (...) przed samą już wojną byłam ochrzczona w kościele ewangelickim" [W: 13.02.2010].

Współcześnie dzieci rozmówczyń także wstępują w związki mieszane i część z nich (zwłaszcza mężczyźni) przeszła konwersję na katolicyzm [W: 13.02.2010].

Język niemiecki i wyznanie ewangelickie stanowiły w czasach wyzwolenia znak rozpoznawczy „obcego" i najczęściej spychały go na margines społeczeństwa, stawiały w roli *outsidera* lub (jak opisywał Réné Girard) „kozła ofiarnego", systematycznie podkreślając jego inność, rozumianą jako cecha negatywna. Mechanizm „kozła ofiarnego" pojawia się w sytuacjach społecznej frustracji, która wywołuje reakcję zbiorowej agresji, skierowanej właśnie najczęściej na obcych [Nowicka 1991: 11].

Kobiety niemieckie po 1945 r. musiały często borykać się z problemami życia w pojedynkę. Zastępować dzieciom ojca i chronić je przed wrogością świata po wojnie. Większość rozmówczyń poszła w ślady swoich przodków i kontynuowała tradycje rodzinne pracując jako tkaczki, szwaczki, w maszynowniach, niektóre zaś zatrudnione były w szpitalach.

2. To, co chowam w (nie)pamięci...

Każdy człowiek ma w swoim życiu doświadczenia, które najchętniej wymazałby ze swojej pamięci. Wojna niewątpliwie spotęgowała ilość takich przeżyć i pozostawiła ślad na życiorysie tych, którzy ją przetrwali. Wojna jako czas chaosu jest zapowiedzią zmiany i wprowadzenia nowego porządku [por. Caillois 1973]. Podczas jej trwania obowiązują zasady w normalnej codzienności nie do zaakceptowania. Dlatego Roger Caillois porównuje wojnę do czasu pierwotnego święta, które charakteryzuje się odwróceniem ogólnie panującego porządku, konstruuje „świat na opak" [por. Caillois 1973]. Johan Huizinga zestawia wojnę z makabryczną zabawą, która zmienia obowiązujący system wartości i moralności [za: Witkowska-Wójtowicz 2006]. W czasie wojny jednostka nie ma prawa wyboru (zostaje pozbawiona wymiaru indywidualnego, prywatności), musi poddać się nowym normom funkcjonującym w społeczeństwie, i – czy tego chce, czy nie – uczestniczyć w odgórnie narzuconej grze (podlega zbiorowości)

[5] „Mój dziadek się ożenił z Niemką, bo dziadek był Polakiem. Bo to były te mieszane małżeństwa, bo to musi się krew mieszać" [W: 12.03.2010].

[por. Caillois 1973]. W nowym porządku, przegrani w walce (nawet niebiorący w niej czynnego udziału, ale pozbawieni swej prywatności zostają potraktowani jako zbiorowość) ponoszą pełne konsekwencje za czyny ogółu, z którym ich utożsamiono. Tak też się stało z Niemcami, którzy pozostali po wyzwoleniu w Łodzi. Rozmówczynie wielokrotnie wspominały, że ich rodzice naiwnie wierzyli, że skoro nie popierali wojny, nie robili nikomu z Polaków i Żydów krzywdy, nie zostaną osądzeni jak wrogowie i zdrajcy. Niestety mechanizm odwetu i stereotypowego spojrzenia na Niemca jako nieprzyjaciela, dotknął najczęściej właśnie tych niewinnych ludzi, którzy nie zbiegli do Niemiec przed wkroczeniem Rosjan.

To, co zapisało się w pamięci moich rozmówczyń, to bieda i przerażający głód, jaki cierpiały. Uczucie, którego nie zapomną do końca swoich dni, mimo że bardzo by chciały usunąć je ze swych wspomnień. Tym, co pozbawiło je dzieciństwa, to także fakt, że wielokrotnie jako dzieci musiały pracować, żeby pomóc rodzinie:

> „Cały czas... do tej pory pamiętam głód. Jak nieraz (...) opowiadam coś to mówi: ty to przesadzasz z tą oszczędnością, ja mówię: bo ty nigdy głodna nie byłaś w życiu. Ja pamiętam gdzie na ul. Północnej skórkę chleba na ulicy podniosłam" [W: 20.02.2010].

Inna wspomina:

> „Mama pracowała, pierw była w szkole elewów na Dmowskiego pod drugim, milicji (...) pracowała za darmo, za łyżkę strawy, a to, że ma dzieci w domu to nikogo nie obchodziło, chyba że wśród tych milicjantów znalazł się jakiś, co miał trochę serca, to czasem coś dla dzieci, cukierka, czy jakąś kiełbasę, co sam nie mógł zjeść, to: «niech pani to weźmie dla dzieci». A potem to się zmówiła z tym, co dla konia chleb mieli, (...) to ten woźnica też był ewangelikiem, ale Polakiem, to z kolei znowu chleb mamie dawał, to do śmietnika mama kładła, przykryła, to tam powiedziała babci: «słuchaj, możesz dzisiaj się przejść», to pieszo szła, biedna (...) w takiej wełnianej chuście i udawała, że zbiera tam coś w tym śmietniku, haczykiem od węgla, z domu zabierała, żeby nie grzebać palcami, bo rękawiczek nie było takich, jak teraz są te jednorazówki, to tam ten chleb przykryty, albo w gazetach owinięty, no i ten chleb z tego śmietnika przynosiła, co dla konia, to myśmy wtedy mieli co jeść. Czasem jakieś kartofle gotowane, to przynosiła do domu, to, co nie zjedli ci elewi, to babcia w domu zrobiła kopytka. Z żołędzi mąka była zrobiona i też się jadło. Żołędzie palone były, to się mieliło na takim młynku z taką szufladką, co się spaliło, to kawa była. I to się jadło, i tak się żyło. A dzisiaj – kawa rozpuszczalna to nie pasuje, kawa inna to nie pasuje" [W: 02.02.2010].

Głodu doznały wszystkie rozmówczynie. Zdarzało się, że chodziły pieszo, nie jechały tramwajem, żeby za zaoszczędzone pieniądze za przejazd kupić bułkę [zob. W: 23.01.2010, W: 12.03.2010]. Jeśli miały odrobinę szczęścia znajdywała się jakaś „pomocna dłoń" wśród Polaków czy Żydów. Pozwalało to choć w niewielkim stopniu zaspokoić głód. Niezwykle wzruszającej historii wysłuchałam od jednej z kobiet:

> „Było przed Bożym Narodzeniem. Mieszkałyśmy na tym strychu tam. Zimno było. Była tylko taka koza, taki piec. No i babcia chodziła do lasu na Chełmy. (...) i zawsze nazbierała tego drzewa i na plecach se nosiła. Ja z babcią chodziłam, bo coś tam w torbie se nosiłam

i babcia układała, żeby trochę tego drzewa na zimę było. Nieraz gajowy przyszedł, to tam gałąź grubszą porąbał, babci dał. Siedziałyśmy, a dużo palić nie można było, bo dużo tego nie miałyśmy. Tak siedziałyśmy i babcia mówi do mojej mamy: «Co my teraz zrobimy? Nie ma nic: ani mąki, ani cukru, ani chleba. No nic nie ma. Co my zrobimy?». Mama mówi: «To może ja pożyczę gdzieś». Poszła do jednej ciotki, poszła do drugiej. To niby wszystkie takie przybrane ciotki. No i ta dała trochę cukru, ta dała trochę tego, no i siedzimy. Co to będzie? No i jest ta Wigilia, a tu nie ma nic! Nawet kawałka chleba nie ma. Okno zamarznięte. (...) Zimno, siedzimy, czekamy. No i moja mama mówi: «Boże, jeżeli jesteś w niebie, to pomóż. Mnie to już nie pomagaj, temu dziecku pomóż». Babcia mówi: «A co ty się modlisz? Jakby Bóg tak naprawdę nas kochał, to by nam takiej krzywdy nie zrobił». Mama mówi: «Nie mów tak! Może akurat ten Bóg jest». No i siedzimy, ciemno się zrobiło od razu. A myśmy tych lokatorów, co tam mieszkali, nie znały. Tylko tego gospodarza. Gospodyni też pochodziła z Niemców. Od razu ktoś puka do drzwi. Babcia mówi: «O, Jezus». Myśmy się ciągle bały. (...) i moja babcia uchyliła drzwi i taka ręka się wsunęła – w papier, w tapetę owinięta paczka – ta ręka tak wsunęła tą paczkę. Babcia już chciała wyjrzeć, w korytarzu ciemno. Tylko powiedziała dziękuję i zamknęła te drzwi. I było pół chleba, było jabłko, było parę cukiereczków, był kawałek słoniny, ale taki duży. To była nie taka słonina nie do topienia, tylko do krojenia. Była taka jakaś dziwna ta słonina. Parę orzeszków i taki kawałeczek ciasta drożdżowego. Moja mama mówi: «Widzisz?» I od razu nie były obie głodne. Wszystko mnie dawały. One nie chciały. One nie głodne, nie. I od razu żeśmy ten chleb podzieliły. Te bochenki takie duże – to pół było. I żeśmy podzieliły ten bochenek. To było na pierwsze święto i na drugie. I to ciasto ja też powiedziałam, że ja nie będę jadła, jeżeli one nie zjedzą. Tak było. To mi w pamięci utkwiło" [W: 13.02.2010].

Kolejną traumą były rozstania z rodzicami: ojcami, którzy zaginęli podczas wojny bądź nie wrócili do domu uciekając do Niemiec I z matkami zabieranymi do więzień i obozów pracy. Dzieci zostawały bardzo często same, bez opieki osób najbliższych, zdane głównie na siebie. Czasem zajmowali się nimi sąsiedzi lub mieszkający z nimi współlokatorzy. W obozach i więzieniach Niemcy musieli ciężko pracować, niejednokrotnie maltretowano ich fizycznie i psychicznie:

„No i w końcu mamę zamknęli. Przyjechała milicja, zamknęli mamę i wywieźli ją, (...) do Głazów. (...) To było w lesie za Łodzią, te Głazy. W środku lasu był obóz dla Niemek. Same Niemki tylko były. One spuszczały drzewa w lesie, cięły te drzewa. No, ciężka praca była. Zima, nie zima – musiały pracować. No to mama odsiedziała tam, a babcię zabrali na Kopernika. A za co, to też nie wiem. Zabrali ją do więzienia na Kopernika. Później chcieli ją wysłać na Sikawę i jakichś dwóch milicjantów się wstawiło, że przecież pani Majewska nie jest Niemrą. No że siedzi w Głazach, to trudno, ale babcia? No i ze względu na to, że dziecko zostało samo, to ta babcia tylko siedziała trzy miesiące. I wróciła do mnie do domu, ale jak? Bieda straszna, nic nie było do jedzenia. Straszna młodość tam przeszła. (...) Moja babcia mówiła, że siedziała tam na tym Kopernika – ani picia nie dostawała, no tam jeść co było, to dali. Ale najgorsze było spanie. Bo na Sali było tak dużo osób, że jak się układały… Była rozrzucona słoma. Jak się układały, to wszystkie te kobiety na prawym boku. Jedna do drugiej była przytulona. Nareszcie któraś powiedziała: «Odwracamy się», to się wszystkie odwracały na drugą stronę. (...) Nie było się gdzie umyć. A kobiety były młode. Miały swoje higieniczne sprawy. (...) Podkładały sobie słomę zwiniętą jak miesiączki miały. No to, to było najgorsze. Ale bicia tam nie było i żadnego bluźnierstwa, i gwałtów też nie było. Tylko z tym, że oni później te kobiety mieli wywieźć (...) dalej do obozów, do pracy. No ale babcię już wtedy ci dwaj – poręczyli za moją babcię (...) A mamę wzięli na Kopernika, później jeszcze do jakiegoś więzienia. (...) i tam na te właśnie Głazy. Ale moja mama mówi, że też żadnego bicia nie dostawała. No ciężko

pracowali, jak na kobiety to było okropnie. Ale mówi, nie było tam, żeby gwałty, żeby bicie było (...) Najgorzej to było zimą. Jak ona tam pojechała w styczniu, to mówi, od pociągu pieszo szli jakieś dziesięć kilometrów po pas w śniegu. No i żadna butów nie miała albo jakieś tam letnie buty. Tą ścieżką. To nogi były nieczułe. Sine były i nieczułe" [W: 13.02.2010].

Historia innej rozmówczyni:

„Dziadek był zabrany na Sikawę do lagru, ale że sąsiad znowu mieszkał u nas w tej samej posesji, (...) przyszedł i mówi: (...) «pani ojciec jest na Sikawie», bo go zabrali, bo on w elektrowni przymusowo pracował za darmo i zabrali cały transport, potrzebowali na Sikawie do czegoś, i tam go już zostawili. A ten go poznał i mówi: «pani sąsiadko, pani ojciec tam jest i prosił, że jeżeli możliwe, żeby pani chleb dała». Skąd tu chleb? Mama mówi: «ja nie mam chleba. Skąd ja chleb wezmę? Ja nie mam dla dzieci. Placków mu upiekę? Z tych żołędzi? To się rozleci, nic nie wyjdzie». A on mówi: «no, wie pani. Jakby pani miała co sprzedać, to ja bym chleb dał». Mama mówi: «no, co ja mam...», a mieliśmy takie firanki, robione przez mamę, a cerowane przez ojca, ojciec miał zdolności, wyszywał serwetki, i też nauczony był w domu przez biedę, że każdy musi coś w domu robić, żeby się biedzie nie dać, taki był podtekst: musisz coś dobrze robić, albo dobrze zmywać, albo szyć, albo na drutach, żeby się biedzie nie dać. I wtedy właśnie te firanki zdjęła mama, wyprała i on przyniósł dwa bochenki chleba, jeden nam, jeden poszedł na Sikawę. I po trzech dniach dziadek wrócił do domu. Załatwił to ten, powiedział, że potrzebuje do siebie, do sprzątania, w domu do roboty i mówi: «ten akurat się, Szwab, nadaje». No i dziadka wyciągnął, za głupie firanki" [W: 02.02.2010].

Jedna z kobiet sama przeżyła pobyt w obozie, oto jak relacjonuje:

„(...) ja siedziałam w 49 r., w Głazach pod Wieluniem. (...) To było więzienie już i tam pracowałam przez rok w więzieniu. A tam też taki lagier był, że same Niemcy tam były. To w jednej sztubie czyli w jednej celi to byliśmy 20 – parę chyba 30. To był duży, duży obszar. Łóżka były tak, chyba piętrowe to były. No i żeśmy tam byli i tam byłam rok. Jak wróciłam do domu, to moja mama z moim synkiem była w domu jeszcze, bo potem wyjechała później. Więc w 50 r. wróciłam z więzienia, no rok siedziałam od 1 sierpnia do 1 sierpnia w Głazach pod Wieluniem. Tam też pracowałam, ale co robiłam, tam była woda to się nie pompowało, tylko kręciło się kołem. (...) To myśmy tak, jedna zmiana 2 godziny, potem druga zmiana, bo one ta wodę potrzebowały, gdzieś do domów ciągły, bo kiedyś to . bo teraz to inaczej jest (...) A kiedyś tośmy musiały w ten nie basen tylko w ten rezerwat napełnić cały tak. No człowiek był młody to śmiechem brał wszystko wtedy. (...) były przykre czasy też" [W: 23.01.2010].

Armia Czerwona wkroczyła w styczniu 1945 r. do Łodzi niecałe dwa dni po tym jak Niemcy najpierw wymordowali, a potem podpalili Radogoszcz [Kozerawska, Podolska 2010]. Na pogrzebie ofiar Polacy mocno manifestowali chęć pomszczenia swych rodaków, na ulicach dochodziło do samosądów [*Ibidem*]. Na kanwie takich nastrojów powstał obóz pracy dla Niemców na Sikawie.

„W literaturze niemieckiej Sikawa zaliczana jest do głównych ośrodków represji ludności pochodzenia niemieckiego. W polskiej historiografii to temat tabu, przez lata skrywany w archiwach. Nazwę znają specjaliści, ale i oni nie potrafią podać dokładnej daty utworzenia obozu. Według badacza IPN, Sławomira Abramowicza, stało się to nazajutrz po wejściu Armii Czerwonej do Łodzi. Dzień wcześniej przestał istnieć tam obóz pracy wychowawczej dla Polaków – niemiecka załoga uciekła, a więźniów wypuścił ogrodnik" [*Ibidem*].

Dwa lata przed zakończeniem wojny Niemcy założyli na Sikawie „wychowawczy obóz pracy", przez który przeszło kilka tysięcy Polaków – w styczniu 1945 r. role się odwróciły. Gestapo zostało zastąpione funkcjonariuszami NKWD [Brzózka: 2009], później przejęli władzę żołnierze Wojska Polskiego, a następnie pracownicy SB i więziennictwa [Kozerawska, Podolska 2010]. Traktowanie więźniów niemieckich nie różniło się od metod stosowanych wcześniej przez hitlerowców, dochodziło do brutalnych gwałtów, musztrowania, bicia [*Ibidem*].

„Według Abramowicza liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła 1,2 tys. osób – tak wynika z imiennej dokumentacji. Zdaniem rodzin ofiar, które przez Sikawę przeszły, zgonów musiało być więcej. To znowu biała plama. Nie ma też dokumentów ani świadectw licznych zabójstw i zbrodni, o których opowiadają łódzcy Niemcy" [*Ibidem*].

Przed wkroczeniem Armii Czerwonej wielu Niemców zdążyło uciec:

„(...) 17 stycznia, to była jakaś taka data, że pociągi odchodziły. Ostatni moment... A jeszcze pamiętam, że mama z bratem posadziła nas na sanki i pojechaliśmy na dworzec kaliski. Nie wiem, jaka to była data. I tam było hałdy bagaży i ludzi i hałas, krzyki. Do pociągu się tłoczyli i mama mówi: «ja wracam». (...) i wróciliśmy" [20.02.2010].

Zapamiętane przez inną kobietę:

„Bardzo dużo Niemców wyjechało, bo oni wiedzieli i już gdzieś 12–13 stycznia wyjechali, a myśmy nie wiedzieli, co się dzieje. Te co byli więcej w polityce (...) Albo byli tacy wysoko postawieni z zachodnich Niemiec, tzw. Reichsdeutsch, to te już wcześniej uciekły, gdzieś koło 10., bo pamiętam, że były torty naszykowane, ja miałam 15. urodziny, a tamten sąsiad, prawie mój rówieśnik, miał 11 (...) i to było naszykowane wszystko na jeden dzień, i jak Ruskie weszli, to już te torty stały, to jak się dorwali do tych tortów, to jak świnia do wywaru. W nocne koszule się poubierały, bo myślały, że to suknie balowe. (...) też pamiętam taki okres, że Niemki, jak młode były, to z kolei chowały się na klatkach schodowych, (...) bo się bały gwałtu. Były przykre momenty. Były i takie momenty, że ktoś chciał się przyznać do czegoś, co nie było jego. Ojciec mój był stolarz, wszystkie meble w domu były przez niego robione, i przyszedł taki, jak mi się nazwisko utrwaliło, pan Kochanowski i powiedział, że to jest jego kredens i że «nie będzieta, Szwaby, z mojego kredensu korzystać!». A wtedy ja, miałam siedem lat, mówię: «to mój tatuś robił, to jest niemożliwe!»" [W: 02.02.2010].

Żołnierze Armii Czerwonej, ale i Polacy dopuszczali się grabieży i gwałtów na ludności niemieckiej:

„(...) powiedzieli [do więźniarek na Sikawie – A. I.], że każda jak przerzuci przez mur i będzie tam wybuch, to pójdzie do domu. No więc one się starały. A (...) ciężarna tego esesmana wzięła i przytuliła. To na ich oczach rozerwała się na kawałeczki. Bo wiedziała, co ją tam czeka. Tam się działy straszne rzeczy. Tam się działo jak w Oświęcimiu. One są wszystkie zakopane za płotkiem. I teraz nasz biskup tam pojechała i tam jest postawiona taka tablica. One były pochowane, one jeszcze żyły, jeszcze się ruszały. A gwałcone to były strasznie, strasznie. W okropny sposób. Ja miałam koleżankę – taką Laurę. Taka ładna dziewczyna. I mówi, na jej oczach zabijali jej brata. I mówi, schowały się. Ona też poza Zgierzem mieszkała z matką, bo ojciec był we wojsku, to mówi się schowała, to się schowało pięciu żołnierzyków. (...) To się schowali (...) do stodoły. Któryś tam widział (...) To mówi, na własne oczy widziała, jak ich

widłami dobijali. (...) Matka ją do Łodzi posłała pieszo, bo tramwajów nie było (to był 45 rok), to ją umazała kurzym łajnem, sadzami i taką babę zrobiła, to mówi, jak szła do Łodzi pieszo, to po lewo i po prawo leżało tyle wojska niemieckiego. Niektóre takie ładne chłopaki. Roztrzaskane to wszystko było, buty zdjęte albo pasy odpięte. I my się dziwili: gdzie to jest pochowane? (...) moc tego leżała, moc po lewo i po prawo. Nie wiemy, gdzie to jest pochowane. (...) Jak ci nieraz tutaj ich przywieźli, to byli rozebrani, ograbieni ze wszystkiego. To też byli Niemcy drudzy, pewno z jakiegoś obozu. To mama stała tam i patrzyła. Ja też patrzyłam. Ja z ciekawości też chodziłam, co tam jest. Mama zawsze mnie wyganiała do domu. Ale Ruskie nie byli takie podłe. To wojsko nie było takie podłe. Nieraz jak tam spojrzałam, jak oni ich wrzucali, tak, głowami, tak, to ten Ruski brał rękę i oczy zatykał, żeby… (...) A te nasze głupie te Poloczki takie były złe. I to przeważnie ci, którzy nie ucierpieli. Oni tacy byli. Bo ci co naprawdę ucierpieli – Radogoszcz, gdzie indziej – to oni nie byli tacy źli" [W: 13.02.2010].

Babcia jednego z Niemców, z którym rozmawiałam opowiadała mu, że:

„Mężczyźni byli w wojsku carskim to się z Rosjanami dogadali. Dali im jeść i pić i łóżka swoje oddali. No i pierwszego dnia im nic nie zrobili. Babki siostra miała wtedy 20 lat, to był taki bardzo niebezpieczny wiek - to szybko się schowała na strychu i jakoś to wszystko przetrwali. Z drugiej strony – od strony ojca – to akurat rodzice dziadka byli najbogatszym chłopami we wsi, no to pierwsze co jak Rosjanie weszli, to sąsiedzi polscy powiedzieli, że tu u nich na pewno są Niemcy. Co tam było do wzięcia to zabrali. Złoto wcześniej zakopali, to nie mieli co do wzięcia. Ale tak długo bili, że musieli wydać. (...) O Rosjanach dużo opowiadali, że np. jak Niemcy pochowali zegarki do młynków na kawę, to Rosjanie jak otwierali szufladkę i widzą zegarek, to mówią: zostawcie sobie zegarek, my weźmiemy tą maszynkę na zegarki. Bo myśleli, że korebką się pokręci i zegarek wyskoczy. Tak też np. Rosjanki chodziły w koszulach nocnych na zabawę – bo myślały, że to są suknie balowe. (...) wszystkich, których wcześniej nie wzięli – to wzięli do obozów, do starych fabryk i później rozdzielali po rolnikach. Każdy mógł sobie wybrać kogo chciał: Niemców ustawili w jednym rzędzie, podeszli chłopi i każdy mógł sobie brać kogo chciał do roboty – w sumie jak niewolników. Babcia miała wtedy 15 lat – akurat wylądowała w jakimś obozie przy wojsku rosyjskim – musiała im gotować i tak dalej. Miała 15 lat, więc jeszcze była mała, a były takie wielkie garnki... Powiadała, że żeby wyczyścić musiała wejść do garnka – i akurat przyszła wtedy inspekcja i oficer rosyjski tak bardzo się wydarł... Musiała go umyć – a nie mogła sięgnąć, to musiała do środka wejść. Jeszcze wtedy dostała tyfus, wszystkie włosy jej wypadły. Jak inne kobiety musiały do pracy pójść na polach, to ona leżała. I wtedy akurat rosyjscy żołnierze chodzili, kobietę koło niej gwałcili – ona zdążyła uciec w ostatniej chwili, chyba po pomoc, ale już było za późno. Polacy opowiadali, jak tam różne rzeczy się działy – szczególnie znęcali się nad kobietami: pędzili je nago i potem się z nich naśmiewali i gwałcili. Jeśli jeszcze mieli znajomych polskich – a większość miała – to czasami im mogli pomóc, no ale jak czasami byli na służbie u obcych ludzi no to różnie się działo. Tam ich bili i też często zmuszali do różnych rzeczy" [W: 22.02.2010].

Jak twierdzi Caillois wojna niemalże wymaga okrucieństwa i krwi wroga, to morderca zostaje uznany za bohatera [Kępiński 2002]. Podczas jej trwania:

„(...) «dozwolone są poczynania, które poza tymi okazjami uchodzą za najcięższe świętokradztwa i najbardziej niewybaczalne zbrodnie (…)». Wojna odwraca również etykę i moralność, a kłamstwo, oszustwo i podstęp stają się cnotami, jeśli ich ostrze mierzy we wroga" [*Ibidem]*.

Zatem odwet i dzikie rozkoszowanie się możliwością zemsty paradoksalnie wpisywało się w mechanizm funkcjonowania wojny. To jednak przecież nigdy nie pomoże zrozumieć ofiarom zadanych im krzywd. Dopiero po wielu latach milczenia, w 2009 r. umieszczono na Sikawie tablicę upamiętniającą Niemców tam więzionych.

„W latach 1945-1948 Sikawa była obozem przejściowym dla żyjących w Polsce Niemców i volksdeutschów. Przed odesłaniem za Odrę byli weryfikowani, badano, czy nie popełnili zbrodni. W Łodzi przebywali od kilku dni do kilku miesięcy - wszystko zależało od organizacji transportów w głąb Niemiec. W 1948 roku Sikawę zamieniono na centralny obóz dla jeńców niemieckich. Trafiali tu niemal wyłącznie oficerowie, w tym dwóch generałów Wehrmachtu – Ernst Matten i Helmuth Eisenstüch. Oprócz codziennych prac, powierzono im też bardzo nietypowe zajęcie: produkowali... zabawki. Obóz zakończył działalność w 1950 roku" [Brzózka 2009].

Poczucie niesprawiedliwości, jaka spotkała ich rodziny, strach przed tym, co jeszcze może je spotkać, wieczna niepewność jutra, życie często uzależniane od łaski innych pozostawiło blizny na życiorysie Niemek. Nie tylko lata dzieciństwa przypadające zaraz po wyzwoleniu Polski obfitowały w przykre incydenty. Także w dorosłym życiu, najczęściej w miejscach pracy, odczuwały ataki, dokuczliwe żarty ze strony polskich współpracowników:

„Pracowałam w żłobku. To już były lata 50. I były żarty. Jak na przykład wszystkie kąpałyśmy się w sobotę. No to wszystkie teraz. Ja poszłam, napuściłam wannę wody, chcę wejść, a koleżanka siedzi. «A tam ty Niemeczka jesteś, dosyć się wykąpałaś». To był taki żart, bardzo bolesny. «Ty jesteś Niemeczka, to tam się wykąpiesz po nas». Tak, że to było, tkwiło" [W: 13.02.2010].

Często wynikało to z zazdrości, zwłaszcza wobec tych kobiet, które wyjeżdżały do Niemiec i przywoziły stamtąd różne artykuły, ubrania, w czasach komunizmu, kiedy w Polsce nie można było dostać żadnych towarów [zob. W: 12.03.2010]. Działała niezwykle bujna i stereotypowa wyobraźnia u części Polaków, którzy zazwyczaj uważali, że jeśli ktoś ma rodzinę na Zachodzie, to dysponuje nie wiadomo jak ogromnym majątkiem [zob. W: 12.03.2010]:

„(...) lepiej żeby się w ogóle tamte czasy [komunizm przyp. – A. I.] nie wróciły, to wszystko było bez sensu. (...) No i to też krzywym okiem patrzyli na mnie, bo jak to? (...) Nikt nie wyjeżdża, a tutaj, a tutaj się jeździ, jeszcze gdzie? Na ten zgniły Zachód, gdzie tam do… do takiego kraju? I to też krzywo było. (...) No i tutaj już jak na tych salfaktorach byłam, no to znowuż jak wyjeżdżałam na ten Zachód, no to po prostu nie dostawałam premii". [W: 12.03.2010]

Wykorzystywano też fakt, że moje rozmówczynie nie chciały zapisać się do partii. Tłumaczyły, że skoro jest polska, a traktowano je jako Niemki, nie mogą się wiec do niej dołączyć. Z tego powodu najczęściej pozbawiano je premii i innych beneficjów [zob. W: 02.02.2010, W: 12.03.2010].

3. Poza przeszłością?

Jakie życie prowadzą teraz? Czy Łódź jest dla nich przyjaznym miastem?

Nie można zmienić przeszłości, trauma i koszmar, jaki przeżyły na skutek wojny będzie towarzyszył im, niestety, zawsze, nawet jeśli zamykają te przykre wydarzenia w sferze milczenia. Z przeszłością mierzą się na co dzień. Przywołują je czasem zwykłe obrazy z codzienności, choćby żebrak, czy głodny pies, z którym dzielą się jedzeniem, bo pamiętają ból głodu [zob. W: 13.02.2010]. Żyć muszą jednak dalej. Z ich opowieści wynika, że sytuacja z sąsiadami uległa znacznej poprawie i raczej nie spotykają się z przykrościami z ich strony:

> „(...) bo teraz już nie ma tej różnicy Polak – Niemiec. Ale między starymi ludźmi to jeszcze są te różnice, jeszcze nawet w moich rocznikach. Bo ci, co tak bardzo przeżyli, albo ich rodzice, to automatycznie gdzieś zostało, ten ból został. Mnie na przykład rażą filmy wojenne, bo sobie zawsze myślę: «a może mój ojciec tam gdzieś zginął?». Ja wiem, że to są statyści, że to jest nakręcane, ale może w taki sposób... ja nie mogę patrzeć na takie wojenne". [W: 02.02.2010]

Jak wiadomo, jednostka zawsze nosi w sobie potrzebę wspólnoty. Sądzę, że zwiększa się jeszcze ona, gdy jest się przedstawicielem mniejszości. Część Niemek należała do Niemieckiego Towarzystwa Kulturalno-Społecznego w Łodzi, niestety wiele z nich zrezygnowało z uczestnictwa w spotkaniach tej organizacji, ze względu na konflikty interpersonalne.

Zjednoczyło ich za to niemieckojęzyczne Koło Biblijne działające obecnie przy parafii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego pod wezwaniem św. Mateusza, podobnie jak istniejący tam chór. Owe czwartkowe spotkania dały możliwość zacieśnienia więzi między łódzkimi Niemkami, a także są okazją do kontaktu z językiem przodków.

Można by zapytać, dlaczego tu zostały, mając szansę wyjazdu na stałe do Niemiec[6]. Najczęściej wynikało to z niechęci do rozstania z rodzicami, będącymi w podeszłym wieku[7]:

> „W 74 r. pierwszy raz wyjechałam do Niemiec Zachodnich. Już było po tych podpisach Brandt – Cyrankiewicz – 70 rok te układy. I ja do tej chrzestnej pojechałam i ona bardzo chciała, żebym została. A ja powiedziałam: ciocia, ja nie zostanę za żadne pieniądze. Miałam już swoje mieszkanko i mama miałaby straszne nieprzyjemności, nachodziliby ją, że pojechała jako turystka, a nie wraca. Gdybym wtedy została to też był taki szlaban, że nie miałam prawa

---

[6] Po wojnie fale migracji do Niemiec osób niemieckiego pochodzenia przypadły na lata 50., 60., 70., i późne lata 80., jak i zaraz po upadku komunizmu.

[7] Benno Kroll, którego fragment wspomnień niedawno opublikowano w „Tyglu Kultury", przytacza m.in. historię Anity. Dziewczyna doświadczywszy traumatycznych przeżyć po 1945 r., nie umiała odnaleźć się w tej zmienionej rzeczywistości polskiej. Jednak, gdy udało jej się uzyskać pozwolenie na wyjazd do Niemiec i była już w pociągu, płacząc, wypowiedziała takie oto słowa: „(...) zostawiłam tu wszystko, co mogłam nazwać «moje» – zaczęła w głębokim zamyśleniu – moja mama, mój tata, moja siostra i brat, mój dom, moja ulica, moje miasto i moja ojczyzna. Jadę tam w nieznane. Tam już nic nie będzie «mojego»" [Kroll 2009].

przez 5 lat przyjechać w odwiedziny do Polski. Tak wtedy było. Po miesiącu wróciłam. Widziałam mamę (...) płakała, żebyś tylko wróciła" [W: 20.02.2010].

Czy:

„Ojczym jak przyszedł zaraz do nas, to się starał, żebyśmy razem z nim wyjechali do Niemiec… Ale mama: «nie» bo dziadek żył" [W: 12. 03.2010].

Lipscher zauważa, że:

„«Heimat» – to w obecnych czasach nie jest dom, pole, cegła, lecz – jak to ujmuje Brakoniecki: «Ojczyzną człowieka jest drugi człowiek». Tak rozumiemy pojęcie stron rodzinnych, małej ojczyzny – w tym zamyka się sens naszego bytowania w Europie" [Lipscher 2009].

Starsze osoby nie chciały także opuszczać ziemi, w której pochowani są ich przodkowie. Pojawiły się również inne motywacje, jak np. to, że w Niemczech też nie byłyby uznawane za „swoich", pozostałyby przyjezdnymi z Polski, obywatelami „drugiej kategorii":

„(...) chyba zrozumiała [mama jednej z rozmówczyń – A. I.], że zrobiła źle, że wyjechała stąd. Po prostu, nie mogła się przestawić. Inna kultura, inne obyczaje i to po prostu… A tu w Polsce jest to takie rozluźnienie. Natomiast tam, (...) inaczej to jest z tymi Niemcami, którzy wyjadą z Polski, czy z Rosji, a inaczej jest z Niemcami osiadłymi" [W: 12.03.2010].

Ponadto Polska odbierana jest przez nie jako ich dom rodzinny, ojczyzna.

„Ja bym nie mogła być w innym kraju. Ja kocham moje wierzby, moje brzozy. (...) ja nie mam nic przeciw Niemcom, ale tutaj w Polsce, gdyby mi ktoś… Ja się nigdy z ludźmi nie kłóciłam, ale gdyby mi ktoś powiedział: a, ty małpo, ty taka, to bym nie obraziła się. A gdyby mi tam z Niemiec ktoś powiedział, to by mi serce pękło. Nie chcę. Ani mama moja też nie" [W: 13.02.2010].

Dziś część z nich jest szczęśliwymi babciami. Niektóre z ich dzieci wyjechały do Niemiec i tam osiadły. Pozostali potomkowie mieszkają w Polsce, bądź na fali migracji zarobkowej wyjechali na Wyspy Brytyjskie. Nie wszyscy znają język niemiecki, część zawierając związki małżeńskie przeszła na katolicyzm.

Podsumowanie

55 lat po zakończeniu wojny garstka łódzkich Niemek wciąż pozostaje tu – w miejscu, do którego przybyli ich przodkowie. Współczesność przyniosła im odrobinę wytchnienia, po latach nie są już tak mocno prześladowane. Zakorzenione w Polakach negatywne stereotypy Niemca wzmogły się po odzyskaniu wolności w 1945 r. U części polskiej społeczności odezwał się zew zemsty i wraz z Rosjanami stworzyli pozostającym w naszym kraju Niemcom namiastkę inferna. Moje rozmówczynie doświadczały okrucieństwa i upokorzeń nawet po długim czasie od wyzwolenia Polski. Nie wyparły się jednak swoich korzeni, obecnie niektóre z nich mogą o tym głośno opowiadać, choć wspomnienia wciąż bolą.

Myślę, że wielu z nas nie zdaje sobie sprawy, jak trudno było powiedzieć bez strachu przed atakiem ze strony Polaków: „jestem Niemką", lecz to robiły. Każda ofiara ma prawo do głosu, wypowiedzenia prawdy. Sądzę, że właśnie wysłuchanie historii łódzkich Niemek, przedstawienie czasu po wyzwoleniu Polski z ich perspektywy, może być jedną z dróg do polepszenia stosunków między obiema narodowościami i wzajemnego zrozumienia. Małym krokiem do zmiany świadomości naszego społeczeństwa, zakwalifikowanego przez Nowicką, jako zamknięte, w którym doskonale rozwinęły się postawy ksenofobiczne, operujące stereotypem i autostereotypem (obciążonym narodową i wyznaniową megalomanią) oraz uprzedzeniami [Nowicka 1991: 24].

Materiały terenowe (W – wywiad):
W: 23.01.2010
W: 02.02.2010
W: 13.02.2010
W: 20.02.2010
W: 22.02.2010
W: 12.03.2010